

Historie Sąsiedzkie

The background of the cover features a photograph of a city street. On the right side, there are several tall, modern apartment buildings with many windows. In the foreground, a smaller, older building with a prominent dome is visible. The overall color palette is warm, with a brownish-orange background on the left and a more natural, slightly desaturated color for the buildings.

Opowieści mieszkanek
dzielnicy Śródmieście
w Katowicach

Drogi czytelniku, oddajemy w Twoje ręce dwadzieścia parę opowieści mieszkanek dzielnicy Śródmieście w Katowicach. Historie te powstały podczas kreatywnych warsztatów adresowanych do kobiet (głównie senierek) związanych z Centrum Społecznościowym w Śródmieściu. Podczas spotkań panie brały udział w spacerach historycznych oraz sentymentalnych po dzielnicy, dzieliły się swoimi wspomnieniami oraz tworzyły collage „Moje Śródmieście”. Rezultaty tych twórczych poszukiwań oddajemy w Twoje ręce i zachęcamy do odwiedzenia miejsc, które wymieniają autorki opowieści. Korzystając z mapy zamieszczonej w publikacji, na pewno bez problemu odnajdziesz wskazane adresy i zapewne nie raz zauważysz zmiany tych przestrzeni (na domiar złego niektóre miejsca już nie istnieją).

Opowieści te są ważnym elementem projektu „Historie sąsiedzkie” i zebraliśmy je między innymi po to, aby posłużyć się nimi podczas warsztatów z młodzieżą i pokazać te miejsca młodemu pokoleniu z innej perspektywy, a tym samym pobudzić je do refleksji nad zmianami, jakie zaszły w naszym mieście. Fragmenty tych historii wykorzystaliśmy podczas warsztatów teatralnych oraz tworzenia własnych spacerów twórczych. Najciekawsze wątki utrwaliliśmy również w niniejszej publikacji, bo zaintrygowała nas perspektywa senierek i ich obraz dzielnicy – niejednokrotnie zupełnie odmienny od współczesnego.

Zachęcamy do lektury i twórczego odkrywania Śródmieścia!

TWOJE
MIEJSCE
W KATOWICACH

159. URODZINY

Podpowiadamy
– najlepiej inwestować w Katowicach!

KATOWICE NA PODIUM
NAJLEPSZYCH MIAST DO ŻYCIA
W POLSCE

Rawa Blues Festival
THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL



1

KAMIENICA PRZY ULICY MARIACKIEJ 1

Mieszkałam przy ulicy Mariackiej. Kiedyś to była wesola ulica, bo... były tam między innymi prostytutki. Wszyscy o tym wiedzieli, całe miasto wiedziało, nawet dzieci wiedziały. Jedną, taką elegancką czarną, to po prostu zakatrupili w jej mieszkaniu. Sama się mieszkać tam nie bałam, bo wtedy zupełnie inaczej się to odbierało – nie myślało się, że ktoś może cię pobić czy coś. Miałam okna na Dworcową, tak że nie miałam potrzeby chodzenia po Mariackiej. Nikt do tego tak nie podchodził, jak się teraz podchodzi – przecież wszystkie klatki schodowe były otwarte, nie wolno ich wręcz było zamykać, a teraz są pozamykane. To było normalne, że czasem ktoś spał na klatce schodowej, nic się też na niej nie zostawiało, bo zaraz zniknęło.

Anna



2

BECZKA NA RYNKU

Mój syn wyjechał z Katowic i zawsze, gdy tu przyjeżdża, to mnie egzaminuje. Chwilami już nie wytrzymuję, bo on myśli, że wszystko mam w głowie: „A tu popatrz, a co to było, a jak to było, a gdzie ten trzepak?”. Zawsze go fascynowała ta beczka na rynku. Miał wtedy może sześć, siedem lat. Wielka najprawdziwsza beczka z browaru z wyciętym okienkiem stała na rynku. Kładli sobie tam kufle z piwem i pili. Zamiast kawiarni taki sklepik – beczka taka duża tam była w formie kiosku. A ludzie wiecznie tam na tej beczce wisieli, te chłopcy. Bo tam piwo lali!

Anna

3

SKLEP JUBILERSKI
PRZY ULICY MŁYŃSKIEJ 5

Mam sentyment do tego sklepu. Po każdym nieudanym związku kupowałam tu pierścionek. Mam już stąd trzy pierścionki.

Maria

4

CAFE EUROPA PRZY ULICY MICKIEWICZA 8

Moi rodzice chodzili tam po liceum na randki. Sama z chłopakiem też tam chodziłam, bo były tam dancingi. Raz obcas mi się złamał w czasie tańca i musiałam chłopaka posłać do domu, by przyniósł mi buty, inaczej musiałby mnie nieść. Potem były tam wieczorki dla samotnych serc. Europa została zamknięta, gdy wybuchła pandemia.

Stefania

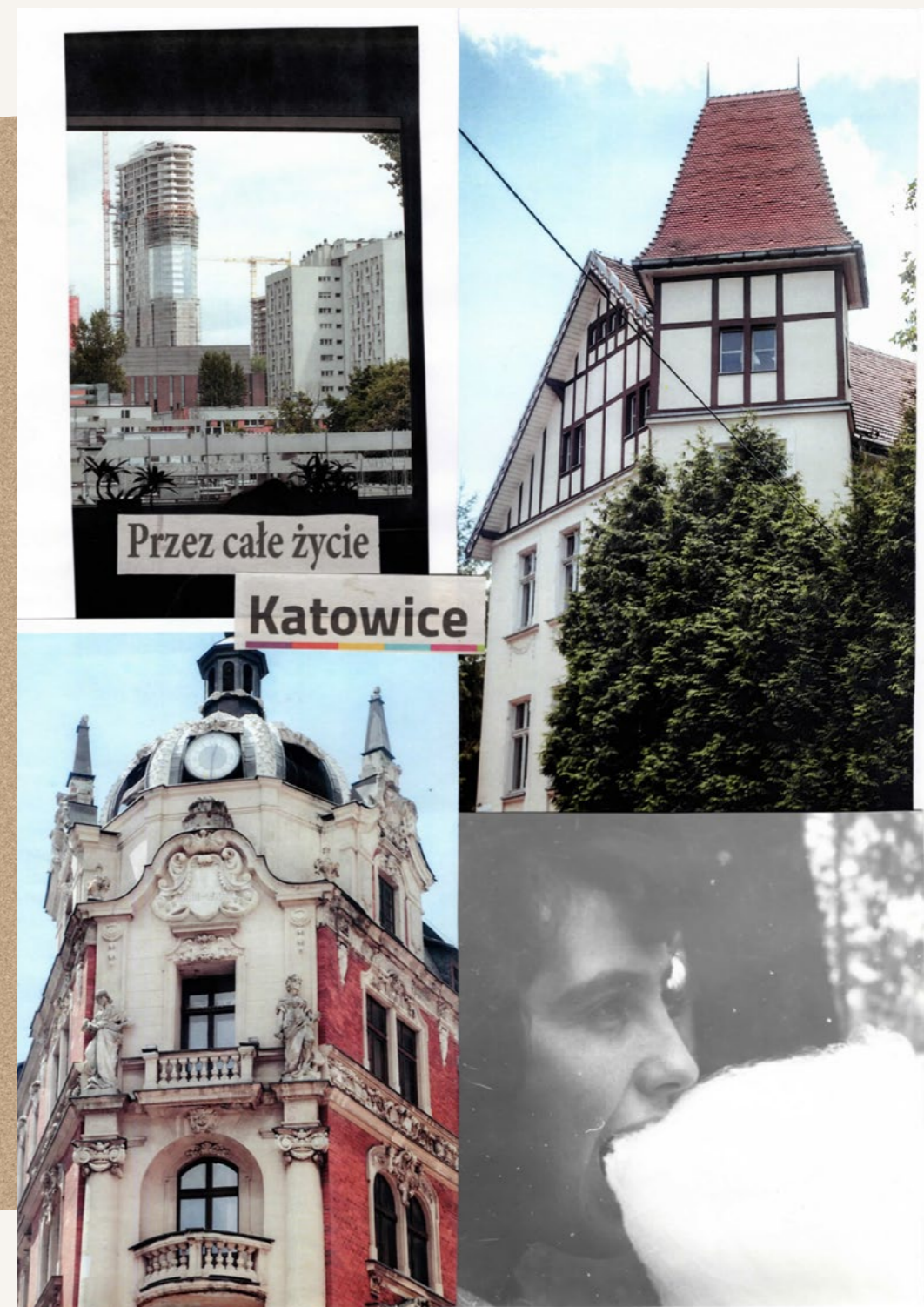
5 SUPERSAM PRZY ULICY PIOTRA SKARGI 6

Tam, gdzie jest obecnie Supersam, była taka duża hala – sprzedawali tu ryby i różne inne rzeczy. Był tam taki wybór ryb, którego do dzisiaj w żadnym sklepie nie ma. Z mamą tam chodziłam, bo bardzo mi się podobało, ponieważ były tu też żywe zwierzątka, na przykład kury. Mama przychodziła i mówiła: „Ta kura nie, ta kura tak” i sprzedawca szedł żywo do tyłu, ukręcał jej łeb i brało się kurę z piórami do domu. Tak to wyglądało. Ale przed Supersamem był taki dodatkowy targ. Tam można było gołębie kupić, hodowane na rosół. Pamiętam, że gdy miałam problemy gardłowe, to moja mama robiła rosół z tych gołębi i bardzo dobrze smakował.

Pamiętam jeszcze koktajl truskawkowy – normalnie mrożone truskawki zalewane mlekiem. Dwie kobiety, które miały te całe wichajstry, mieszały to. Kolejka była długa, było to naprawdę dobre.

Zlikwidowali ten targ. Bo przecież to się ruszało od szczurów, bo Rawa przepływała blisko i jeszcze była odkryta. Smród się unosił i kłęby jakichś dymów.

Teresa





6

DOMOKRĄŻCY I ZAOPATRZENIE, MIĘDZY INNYMI ULICA PIOTRA SKARGI 6A

Pamiętam, że na podwórko za mojego dzieciństwa bardzo często przychodzili Romowie. Grali, sprzedawali te swoje patelnie, ale też ostrzyli noże. Wszyscy ześmy na nich czekali. Rzucano się z balkonu drobniaki, gdy grali. Też chodzili tacy, co ostrzą nożyczki i noże. Kupowało się od nich również celofan na konfitury. Chodzili także domokrażcy, którzy sprzedawali i naprawiali parasole.

Poza tym jeździli tacy wozacy, czyli jeździli wozami konnymi, którzy mieli na wozie bryły suchego lodu. Mama kupowała mi lody z takiego wozu konnego i one były, te lody, jak nasze kasaty – otwierało się takie okienko, a oni tylko cieli i waflę dawali. Pamiętam te lody, kupowało się je na targu z wozu konnego w miejscu, gdzie dzisiaj stoi Supersam. A gdy jesień się zaczynała, to ci wozacy przywozili ziemniaki, kapustę, cebulę, no i węgiel. To były takie zwyczaje.

Małgorzata

7

VIII LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE Z ODDZIAŁAMI DWUJĘZYCZNYMI IM. MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ PRZY ULICY 3 MAJA 42

Obecnie dobiegam osiemdziesiątki, jestem emerytowaną nauczycielką akademicką. W moich wspomnieniach chciałabym zawrzeć zaledwie garść z tych, które wiążą się z moim uczniowskim życiem w liceum w Katowicach (dawne Liceum Ogólnokształcące im. Wilhelma Piecka, zwane potocznie Pikiem, obecnie VIII Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Marii Curie-Skłodowskiej przy ulicy 3 Maja 42).

Mieszkam w Katowicach od dziesiątków lat, więc kiedy mijam moje liceum (lub jadę autobusem przez plac Wolności), nie zapominam zerknąć na ostatnie piętra szkoły, z której mam wiele fantastycznych wspomnień. Szczególną okazją do sympatycznych reminiscencji w szerszym gronie są nasze, mniej czy bardziej regularne, spotkania żyjących wciąż uczniów klasy „a” i klasy „b” wspomnianego liceum, czyli naszej paczki.

Naszym wychowawcą był profesor Teodor Paliczka, który uczył nas matematyki. Cóż to był za człowiek!

Niezwykły w sposobie kontaktowania się z uczniami: pełen serdeczności i zrozumienia, ale też konsekwencji i rzetelnej oceny działania czasem niesfornych podopiecznych. Ale największym atutem profesora Paliczki były umiejętności nauczania nas skądinąd szczególnie trudnego przedmiotu, jakim jest matematyka. Ileż to razy w trakcie spotkań wracamy do wspomnień dotyczących naszej matematycznej edukacji. Nigdy nie padły „przykre wspomnienia” z lat spędzonych na nauce matematyki z profesorem Paliczką. To wielki dar od losu spotkać na edukacyjnej drodze, mojej i uczniów tego liceum, takiego człowieka i nauczyciela.

Nie mogę pominąć pozostałych pedagogów, z którymi mieliśmy okazję zetknąć się w Piku. Od których przyszło nam zdobywać wiedzę, ale także uczyć się: na czym polega odpowiedzialność nauczyciela i ucznia, jak w trudnych relacjach opierać się na szacunku i jak wierzyć w rzetelność i sprawiedliwość. Należy tu zatem wymienić nauczycieli języka polskiego, łaciny,



NASZE

KATO



WICE

niemieckiego, rosyjskiego, a szczególnie nauczyciela chemii, fizyki i biologii. Często w ramach „wspominek” zastanawiamy się, jak wytłumaczyć to, że nauczyciele ogromnie wymagający potrafili przekazać wiedzę i zachęcać nas do jej zgłębiania. Jako uczennica tegoż liceum i wieloletnia nauczycielka akademicka posiadałam – mam nadzieję – ważną umiejętność tego, jak być serdeczną nauczycielką i dobrą dydaktyczką, nie lekceważąc dyscypliny i wymagań wobec studentów. Zatem w imieniu swoim i kolegów chylę czoła przed wspaniałą kadrą nauczycielską ówczesnego liceum im. Piecka.

Z moją ukochaną szkołą mam wiele wspomnień, jak to zwykle bywa, kiedy czasy szkolne dawno minęły. Są w tym też przeżycia, których czas nie wymazuje. Oto przykład. W trakcie nauki w liceum zmieniałam szkołę ze względu na roczną przerwę chorobową oraz zmianę miejsca zamieszkania. W taki sposób znalazłam się w gronie uczniów Pika, w klasie „a”. Wcześniej uczęszczałam do liceum w Sosnowcu. Niestety z powodu wagarów w tamtejszej szkole wszyscy uczniowie otrzymali na świadectwie ocenę z zachowania dostateczną. Kiedy składałam dokumenty w Piku, pan dyrektor uprzedził mnie, że każda „afeta” w klasie to powód do podejrzenia, że mogłam być inicjatorką zajęcia. Zdarzyło się kiedyś, że ktoś z moich klasowych kolegów zamknął przed lekcją z łaciny klasę od wewnątrz na klucz, który następnie powędrował na dół na podwórko – wyrzucony przez okno. Zamętowi nie było końca, afeta gotowa, a ja po powrocie do domu czułam się „coraz bardziej chora”. Nie przyznałam się, co się w szkole stało, ale w głowie ciągle tłukły się wspomnienia z rozmowy z panem dyrektorem i możliwe skutki podejrzenia wobec mojej osoby. Gdy gorączka sięgnęła 39,8 stopni, rodzice wezwali lekarza, który

usilnie szukał powodu mojej wysokiej temperatury. Niestety go nie znalazł, a ja „cierpiałam” do następnego dnia, kiedy okazało się, że nie byłam oskarżona o wywołanie afery.

Wspominając naszą wspaniałą grupę uczniowską i cudowne liceum wraz z niezwykłą kadrą nauczycielską, nie sposób pominąć innego faktu, który odnosi się do obrazu współczesnego polskiego społeczeństwa, to jest podzielonego, nierzadko tryskającego nienawiścią. W naszym liceum były osoby pochodzące z domów typowo śląskich, gdzie czasem dziadkowie używali języka niemieckiego częściej niż polskiego lub gwary. Byli „gorole”, byli koledzy pochodzenia żydowskiego. Na spotkaniach często zastanawiamy się (szczególnie że wielu kolegów przyjeżdżało z krajów europejskich, Kanady, USA, a nawet z Australii), jak to było, że nikomu takie sytuacje nie przeszkadzały i nie było na tym tle jakichkolwiek animozji, a do dzisiaj mamy dla siebie nieograniczoną serdeczność, sympatię i życzliwość – jak w najlepszej rodzinie. I w tym miejscu może warto przypomnieć 1968 rok, kiedy przyszło nam żegnać kolegów opuszczających Polskę na stałe. Wiemy, jak kolegom wyjeżdżającym (najczęściej z Dworca Gdańskiego w Warszawie) to rozstanie z ojczyzną i nami, znajomymi i sąsiadami, raniło serce każdego z nich, jaki opór rodziło to w młodym skądinąd Polaku. Na szczęście możemy dalej się spotykać, choć wielu z nich mieszka daleko od Katowic, na przykład Nela, Basia i Andrzej żyją w Izraelu, Musia i Jacek w Szwecji, Danusia w USA, Michał w Kanadzie, Halina, Bożena i Wiesia w Niemczech, a Klara w Australii. Chciałoby się wołać dziś: „Polacy, Kochajcie się nawzajem i szanujcie, darujcie sobie życzliwość. W tym jest przecież siła narodu!”. Oczywiście niektórych kolegów już z nami nie ma, bo

wcześniej nas opuścili, udając się w odległe zakamarki Niebios. Myślę, że wstydu tam nie przyniosą ani jako nasi koledzy i przyjaciele, ani jako uczniowie znakomitego liceum im. Piecka. Gdy się spotykamy, zapalamy kolejną świeczkę w kieliszku, licząc, że to światełko podąży od nas w górę i jest tam dobrze odbierane. Dotyczy to także naszych wspaniałych nauczycieli, bo nasza wdzięczność nie zna granic.

Lidia

8 ESTAKADA PRZY DWORCU, PLAC MARIII I LECHA KACZYŃSKICH

Estakada powstała, gdy ten dworzec wybudowali w latach 70., a wyburzyli ją w 2010 roku. Nie lubiłam tej estakady, bo to było brzydkie; natomiast było też punktem widokowym, ponieważ przystanki autobusowe były zaraz pod nią. Tak więc gdy widziałam, że mój autobus jedzie, to była szansa, że człowiek jeszcze na niego zdąży. I jeśli to nie było odśnieżone, to można się było zdrowo przejechać, bo tamtych schodów było sporo, szczególnie jak się człowiek spieszył na auto-





bus. No, niejeden złamał nogę. bAle czasem jak sobie przypomnę spacerowanie po tej estakadzie, to dociera do mnie, że tam się czułam, jakbym chodziła po molo, a pode mną było morze.

Maria

Do czasu studiów mieszkałam w Tychach i wizyty na dworcu w Katowicach kojarzyły mi się zawsze z odbieraniem mojej mamy, która jeździła na studia. Zawsze jeździliśmy wspólnie z tatą na dworzec, spacerowaliśmy po tej estakadzie i czekaliśmy na mamę. Ponadto naszą tradycją było jedzenie hot dogów, które tam sprzedawano – smak prażonej cebulki to dla mnie leitmotiv tego miejsca.

Ada

Estakady już nie ma. Podczas spaceru próbowałyśmy odszukać miejsce, w którym stała, i ustawić się tak, by stworzyć „żywy obraz”, który ją unaocznia.

9

STARY DWORZEC

A starą kasę biletową pamiętacie? Kupowało się tam peronówki za 2 złote, jeśli się chciało wejść na peron, żeby kogokolwiek odprowadzić, i oni to nawet kontrolowali. Wyburzyli stary dworzec, bo z jednej strony ludzie chcieli przebudowy tego dworca, bo tak naprawdę nie był atrakcyjny, a z drugiej – była walka o „kielichy”. Dworzec wtedy niestety kojarzył się z narkomanią i z bezdomnymi. Przede wszystkim, niestety, z tego słynął. Oczywiście także z tego drobnego handlu, który tam był w tych wszystkich budkach upchnięty. Ile tam było tych budek po prostu wciśniętych jedna przy drugiej! I każdy możliwy kąt zagospodarowany przez bezdomnych z kocami i materacami. Ci mieszkający na dworcu stwarzali zagrożenie, bo byli czasem zaczepliwi. Gdzieś tam wszczynali różne dziwne akcje.

Naprawdę dworzec nie był wtedy wizytówką Katowic. No i przy planach wyburzenia dworca się odezwali wszyscy ci, którzy byli przeciwko, mówiąc, że powinien zostać. I jak to często bywa, krakowskim targiem, zostały wybudowane betonowe kielichy (podobne do tych oryginalnych z dworca), ale reszta została zaprojektowana na nowo. Szukali dobrego wyjścia i tym samym też pozbyli się bezdomnych na dworcu.

Stefania



10

MEGA CLUB PRZY ULICY DWORCOWEJ 4

Często przyjeżdżałam do Mega Clubu. Tutaj był klub muzyczny i naprawdę ta scena muzyczna fajnie sobie żyła. No taki kultowy klub bym powiedziała. Miałam nawet okazję robić tam jeden koncert, tak że też takie wspomnienia mam. To był koncert pod tytułem „Hip-Hop na rzecz chorych na AIDS”. Współpracowałyśmy wtedy z chorzowskim oddziałem, gdzie były leczone osoby chore. I tam była taka nasza scena hip-hopowa, między innymi był Kaliber jako gwiazda wieczoru.

Anna

11

MAGIEL PRZY ULICY ŻWIRKI I WIGURY 23

Stała tu taka typowa śląska magiel z korbką. No-siliśmy tam firanki i w tym samym miejscu jeszcze sprzedawali żur. W glinianych garnkach stał żur, więc z dzbankiem się chodziło i pani nalewała. Oczywiście połowę się wypijało po drodze do domu.

Małgorzata



12

KOMISARIAT MILICJI PRZY ULICY ŻWIRKI I WIGURY 28

Siedziałam 18 godzin na komendzie milicji. Odsiedziałam swoje, ponieważ mój siostrzeniec studiował u mnie na uniwersytecie, gdzie uczyłam ekonomii i kapitalizmu. Jak zwykle pojechał w wakacje do Anglii, żeby podszkolić język. Miał wrócić po pół roku... W tym czasie 13 grudnia wybuchł stan wojenny! No więc kto jest winien? Ciotka! Jest winna, bo go nauczyła kapitalizmu.

Na komendzie straciłam głos, bo wypaliłam paczkę cameli, a oni siedzieli *vis-à-vis* mnie i za przeproszeniem, jechali z kodeksem: „Wie pani, co panią czeka? Dwa lata”. A ja miałam małe dziecko. „Ale za co?”. No za to, że mu w głowie przewróciłam. Bo chciałam go przygotować, żeby jeździł na Zachód. Możecie mi wierzyć! Powiedzieli, że mam dwa tygodnie: albo współpracuję, albo mnie wyrzucą z uczelni. Ja już z doktorem i co ja teraz będę robić: zamiatać ulicę czy co?

Nie wiem, co by było, gdyby nie profesor Zbigniew Messner, który w tym czasie był rektorem, a jednocześnie był członkiem Biura Politycznego Komitetu



Głiwicka

Stawowa

Adama Mickiewicza

Juliusza Słowackiego

Jana Matejki

Stawowa

Młyńska

Młyńska

Pocztowa

Świętego Jana

Rynek

Teatralna

Staromiejska

Warszawska

Dworcowa

Dworcowa

Dworcowa

Mariacka

Tylna Mariacka

Wojewódzka

Jagiellońska

Sienkiewicza

Francuska

Wojewódzka

Powstańców

Powstańców

Henryka Dąbrowskiego

Henryka Dąbrowskiego

Mikołowska

Tadeusza Kościuszki

Jana Kochanowskiego

Kiwińskiego

Żwirki i Wigury

14 20 17

11

12 13

15 16

18

19

7

8

3

2

5 6

4

3 Maja

3 Maja

9

10

1

Centralnego PZPR. Poszłam do niego, on przy mnie wykonał jeden telefon i odczepili się ode mnie. Tak że wyszłam spokojna, a on powiedział: „Weź no wypisz rezygnację z tych wszystkich swoich funkcji, co masz na uczelni, a potem idź do nich”. Trzy godziny czekałam, żeby mnie przesłuchali, i było tylko: „Przepraszam, jeszcze trochę, bo jest narada”, „A przepraszam, bo jeszcze komendant nas wezwał, niech pani poczeka”. Trzy godziny w tej sali siedziałam na dole. W końcu mnie wzięli i mówię: „O żadnej współpracy nie ma mowy, proszę tutaj wziąć tę moją rezygnację ze wszystkich funkcji na uczelni”. A oni: „Jak to? Niech pani tego nie robi, niech pani zobaczy, jaka pani jest tutaj potrzebna, na tej uczelni”. Więc mówię: „To teraz panowie widzą, że jestem potrzebna do tego, a dwa tygodnie temu nie byłam potrzebna”. Tak mi kodeksem machali, że poleciała mi krew z nosa pierwszy raz w życiu. Wyobraźcie sobie, jak oni podskoczyli! Zamknęli drzwi, naraz „Przepraszam” i mnie wypuścili.

Lidia

13

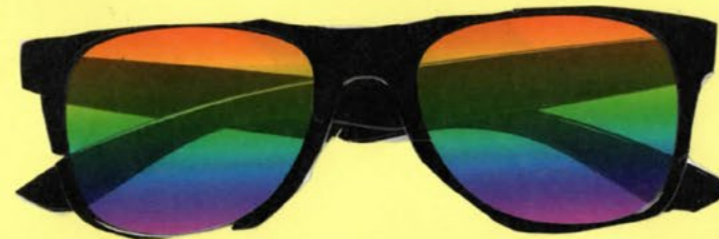
RÓG ULIC KILIŃSKIEGO ORAZ ŻWIRKI I WIGURY

Na rogu Kilińskiego oraz Żwirki i Wigury był tak zwany sklep milicyjny – tak wszyscy na niego mówili. To był spożywczy, ale ponieważ znajdował się przy posterunku milicji, był trochę lepiej zaopatrzony. Ale nie każdy mógł tu coś dostać, bo na przykład jeśli przyszło masło, to dostawali najpierw mundurowi. W sklepie była ekspedientka, która gdy się do kogoś zwracała, to mówiła po polsku, natomiast kiedy liczyła, to po niemiecku, i zupełnie nikogo to nie raziło. Było tu dużo tych rodzin polsko-niemieckich.

Małgorzata



Słoneczna strona miasta



14 PODWÓRKO PRZY ULICY KILIŃSKIEGO 21

Pamiętam takie integracje na podwórkach, tutaj właśnie na Stalmacha i Kilińskiego. To był taki ciąg podwórek, teraz są już podzielone płotami, ale dawniej to było jedno podwórze. Tam się spotykaliśmy na trzepaku – całe podwórze tam chodziło, żeby sprawdzić, kto przejdzie górą i się nie zabije, i nie złamie ręki, nogi, to będzie bohater. Różnie się to kończyło – czasami podbitym okiem, siniakami, ale chodziliśmy.

Pamiętam też, jak mój ojciec powiedział do mamy: „Słuchaj, bo ty ją trzymasz pod kloszem. Wszystkie dzieci się tam bawią na dole, a ona ciągle w domu”. No i oczywiście mama mnie puściła. Nie minęło pół godziny i powiedziała: „Dziecko, kto cię tak zmasakrował?”. A ja pobiłam się z chłopakami, a ponieważ – że tak powiem – „wkulałam koledze”, który był starszy ode mnie, to on chciał się zemścić: wziął węgiel, który rzucali na zimę, rzucił we mnie i rozwalił mi nos i czoło. Byłam blondynką i gdy zaczęłam krwawić, to mi się lało po oczach i byłam cała we krwi.

Pogotowie ratunkowe było przy ulicy Raciborskiej, tam gdzie jest w tej chwili stacja krwiodawstwa. I na pogotowiu powiedzieli, że mogą mi wypisać stały bilet, bo ja mniej więcej co trzy–pięć miesięcy lądowałam tam

na szyciu, na zastrzyku przeciw tężcowi czy różnych innych, bo po prostu takie były zabawy.

Był trzepak, były kamienie, były skakanki, w cyMBER-gaja się grało, nożykami się bawiło (głównie rzucało). Scyzoryk na przykład się stawiało na szpic i się wywracało, nóż robił w powietrzu obroty i wbijał się w ziemię. Musiał się wbić, bo jeśli spadł „na płasko”, to była skucha i się przegrywało. To były nasze zabawy.

Mieszkałam przy Kilińskiego 21 w budynku, gdzie było gestapo w czasie okupacji, i jako dzieci to żeśmy sobie biegali po piwnicach, bo to było połączenie różnych ulic. Były tam napisy niemieckie, a myśmy się bawili w strzałki... Czegośmy nie wyprawiali w tych piwnicach! No i było nas tam trochę, bo ponad 50 dzieci.

Urzędowaliśmy do pierwszej w nocy w wakacje, bo tak rodzice nam pozwalali. I po tych piwnicach gestapowskich biegaliśmy oraz po ogródkach działkowych (do dzisiaj istnieją). Mieliśmy tam też swoich ulubieńców, na przykład dziadka Kinowskiego, który zawsze często wał nas gruszkami, podczas gdy inni nas przepędzali.

Danuta



15

KAMIENICA PRZY ULICY STALMACHA 16

Urodziłam się w Katowicach w miejscu, w którym mieszkam do dziś. Naprzeciwko mieszkania mamy willę – Stalmacha 17. Wówczas ulica Stalmacha była zamknięta dla ruchu kołowego, więc dzieci się bawiły non stop na ulicy. Tu były bardzo duże zakłócenia, zresztą są do dziś, na przykład w odbiorze fal radiowych. No i jeszcze był tu drapacz chmur, więc w odbiorze sygnałów telewizyjnych i radiowych były bardzo duże zakłócenia. Najpierw myśleliśmy, że to przez milicję najprawdopodobniej, ale potem się wynieśli, a zakłócenia zostały.

W każdym razie z okna domu obserwowałam wybuch stanu wojennego. Przy Stalmacha 17 była wówczas siedziba Solidarności. Miałam miesięczne dziecko i mniej więcej około 23 je karmiłam, kiedy nagle na tej cichej i spokojnej ulicy zaczął się niesamowity ruch. Podchodzę do okna, patrzę, podjeżdża jedna ciężarówka, podjeżdża druga, wyskakują ufoludki, to znaczy zomowcy: w hełmach, pałki wystające z tyłu i te ogromne tarcze. Otoczyli całą tę willę przy Stalmacha 17. Były dwie czy trzy osoby w tym budynku i te osoby weszły zupełnie na górę tego gmachu. Tam są

dwa małe okna i nam się wydawało, że te osoby chcą stamtąd skoczyć. Przeżywaliśmy naprawdę chwilę strachu i horroru. Zomowcy wywalili drzwi szturmem, zabrali te osoby do samochodów. Potem za kilka dni usiłowali się dostać do kasy pancernej. Nie dali rady i ją po schodach zrzucali, bo tam były dokumenty. Potem zrobili sobie tam dom schadzek i przywozili panienki – zomowcy i milicja. No mieliśmy „ubaw”.

Ale co było w momencie rozpoczęcia stanu wojennego? Wyłączyli wszystkim telefony, ale nasze działały – myśmy byli na jednej linii połączeni ze Stalmacha 17, więc mogliśmy w obrębie ulicy Stalmacha dzwonić. Gdy zobaczyłam, co się dzieje, obudziłam rodziców, rodzice pobudzili znajomych, no i wszyscy staliśmy w oknach i obserwowaliśmy, co się dzieje i co będzie dalej. W każdym razie ja i moje dziecko byliśmy spakowani, ale baliśmy się, że jeśli zaczną używać jakiegoś gazu łzawiącego, to miesięczne maleństwo może nie wytrzymać. Stwierdziliśmy też, że właściwie nie ma jak uciec, bo mamy wyjście z jednej strony tylko na ulicę Stalmacha albo jeśli przedostalibyśmy się przez podwórko, to mamy wyjście na ulicę Kilińskiego i prosto na komisariat milicji, a na Żwirki i Wigury był jeszcze urząd paszportowy i mury kościelne, więc nie było jak uciekać.

Mój tata był sędzią grodzkim i mieszkał w Katowicach od '47 roku i dostał przydział na mieszkanie, ale takie to były czasy, że dostał przydział na dwa pokoje w mieszkaniu, w którym były cztery pokoje. Mieszkał w takim wspólnym mieszkaniu: jedna kuchnia, jedna łazienka, cztery pokoje, trzy rodziny. W sumie nam się bardzo dobrze mieszkało. Natomiast to mieszkanie było o tyle fajne, że było po jakimś bankierze przedwojennym – Niemcu. Mieszkanie było z dzwon-

kami na służbę. Koło kuchni była taka skrzyneczka z kłapeczkami. Gdy się nacisnęło dzwoneczek w pokoju, to w korytarzu spadał numerek pokoju, z którego zadzwoniono. Poza tym z siostrą podczas zabawy odkryłyśmy, że w pewnym miejscu, nad moim łóżkiem, jest inny odgłos ściany, kiedy się puka. Potem mój syn też chodził i pukał, teraz chodzi i puka mój wnuk. I z uporem maniaka pukamy, ale nie odkuliśmy tego do dziś. Ale pomyślcie, jak my – jako dziesięcioletnie dzieci – mogłyśmy wyobrazić sobie ten skarb? Tym bardziej że drzwi do naszego mieszkania zamykamy na korbkę – wajchę, która wchodzi do podłogi, do dwóch ścian i do sufitu. Gdy wymieniali drzwi w kamienicy, myśmy naszych nie pozwolili ruszyć, bo stwierdziliśmy, że to pamiątka. Trudno nam było znaleźć firmę, która podjęłaby się renowacji, ale znaleźliśmy. Rozkręcili to, wyczyścili i powiedzieli, że powinno działać jeszcze przez następne 50 lat.

30

Małgorzata

16 KAMIENICA PRZY ULICY STALMACHA 17

Najpierw była to „willa Kocurka”, potem „willa reprezentacyjna Katowic” przez pewien okres, później była Solidarność, a w czasie stanu wojennego siedziba ZOMO. Willa była przepiękna w środku, bo jako dziecko bardzo często się tam kręciłam i byłam zachwycona przede wszystkim podłogą, bo tam były parkiety, że dosłownie zapierało dech w piersiach! Teraz to wszystko jest już zniszczone, ale kiedyś było piękne.

Za czasów mojego dzieciństwa przejeżdżali tam różni oficjele. Mieszkałam w kamienicy naprzeciw, przy Stalmacha 16. Na pewno był Gagarin, była Tiereszkowa, był Fidel Castro – sam opuścił tę willę i poszedł sobie w Katowice piechotą, ale nie na Mariacką... Natomiast najbardziej utkwiała mi w pamięci delegacja jakiegoś króla lub innego ważnego gościa. Miałam wtedy cztery lub pięć lat. Przyjechała delegacja jakichś krajów afrykańskich – ludzie w tych kolorowych długich sukniach. I w każdym razie dla nas dzieci to było zjawiskowe. Król, królowa, nie wiadomo – inny świat zupełnie niż ten nasz szarobury. Pamiętam, że uprosiłam mamę, żeby mi dała kwiatka, bo chciałam go dać królowi. Mama miała piwonie, więc dała mi takie trzy piwonie z ogródka zerwane. I ja na tym chodniku czekałam, aż ten król wyjdzie z bramy. Nie wiem do dzisiaj, jak się



31

nazywał; nie pamiętam, rodzice nie żyją, a nikt mi nie może powiedzieć, co to za delegacja była w latach 50., która tam nocowała. W każdym razie oni wyszli, a ja wcześniej, czekając na nich i nudząc się na tej ulicy, zaczęłam zamiatać ulicę tymi piwoniami. Wyszli z tej willi, ja z tymi kwiatkami, do tego w najładniejszym błyszczącym stroju. Dałam mu te kwiatki, on tam podał dalej, wziął mnie na ręce, pocałował mnie w czoło i do rogu Kilińskiego niósł na rękach. Byłam potem przez dzieci sąsiadów traktowana jako najważniejsza na ulicy, bo mnie król pocałował w czoło i na rękach nosił. W każdym razie to zdarzenie z dzieciństwa jest dla mnie takie... śmieję się zawsze, gdy to mówię... ale jak to potrafi zapaść w pamięć takiego dziecka!

W każdym razie są przejścia podziemne między tą willą a okolicznymi domami. Od strony ulicy Stalacha 17 nie wiem, jak wyglądają piwnice willi, natomiast wiem, jak wygląda sprawa od strony naszej kamienicy. Jest przejście pod ulicą, myśmy tak wchodzili na jakieś 20 metrów, potem trochę żeśmy się bali, bo nie wiedzieliśmy, w jakim to jest stanie technicznym. Tam zresztą jest potem postawiona taka drewniana ściana, ale byliśmy ciekawi, czy tam jest dalsze przejście do tej willi, czy nie ma.

Małgorzata



17

II LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE IM. MARII KONOPNICKIEJ Z ODDZIAŁAMI DWUJĘZYCZNYMI ORAZ SZKOŁA PODSTAWOWA NUMER 30 PRZY ULICY GŁOWACKIEGO 6

Tam gdzie jest obecne liceum im. Marii Konopnickiej, dawniej była jedyna szkoła podstawowa w Katowicach, która wówczas nie była koedukacyjna. W jednym budynku były szkoły podstawowe męska, żeńska oraz na górnych piętrach koedukacyjny ogólniak. Chłopców od dziewcząt dzielił płot.

Pamiętam panią dyrektor szkoły podstawowej, która chodziła po podwórku i nie pozwalała nam podejść do płotu. Dwa metry od płotu trzeba było chodzić. Pani dyrektor nie pozwalała się do niego zbliżyć, bo dziew-

czynkom nie wypada. Ale my byliśmy sprytni i znajomości nawiązywaliśmy w harcerstwie: mieliśmy wspólne zbiórki, wyjazdy, obozy, biwaki i ogniska. Mam zdjęcia na tle Konopnickiej, jak stoję z dwoma takimi krzywymi girami, w plisowanej spódnicy i białej bluzce z taką tytą, bo przecież tyta* w tamtym czasie była najważniejsza. Musiała być! I stoję dumna i blada z taką tytą właśnie pod Konopnicką.

Małgorzata

* Zwyczajowy prezent dla dzieci idących do 1 klasy szkoły podstawowej.

18

KAMIENICA PRZY ULICY RYBNICKIEJ 7

W mojej klatce mieszkała mama Krystyny Bochenek. Wtedy tak nie było, że „Ja jestem dyrektor”, „Ja jestem pan stróż”. Po prostu myśmy byli mieszkańcami tych kamienic i myśmy się tam znali. Gdy się wracało z pracy, czuło się, że ta żurek gotuje... Zapukało się i mówiło: „O, masz żurek!”. Nie czekało się. Baśka miała garnki, to się kubek brało, nalało – tak to funkcjonowało. Dosłownie. Dopóki była ta stara ekipa, dopiero potem, gdy już albo pomarli, albo dzieci posprzedawały mieszkania, to nagle ten dom się zrobił kompletnie obcy.

Grażyna





19

LODZIARNIA CAPRI PRZY ULICY KOŚCIUSZKI 8

Przy ulicy Kościuszki były najlepsze lody. Capri. Tam było około 18 gatunków. U mnie to było za rogiem; czekałam, aż mama powie: „Weź talerzyk, idź po lody”. W '68 roku, jak była sprawa Żydów, to po prostu lodziarnia przestała istnieć. Niektórych smaków lodów, w dodatku tak dobrych, do dzisiaj nie jadłam! To tam pierwszy raz jadłam miętowe lody.

Teresa

20

WIEŻA SPADOCHRONOWA W PARKU KOŚCIUSZKI

W Parku Kościuszki była wieża spadochronowa. Kilkakrotnie uciekłam mamie, ona nawet nie wiedziała, że poszłam do góry – dopiero kiedy mnie zobaczyła, to jej kiwałałam, że jestem. Tam się wchodziło po schodach – głównie dzieci, bo dorosłym się nie chciało zasuwać po schodach tak wysoko. Przypinali tam człowieka do czaszy i trzeba było skoczyć. Otwierali drzwiczki i się skakało. Pod wieżą była budka z biletami, które chyba kosztowały 2 złote za wejście.

Danuta



OSOBLIWOŚCI ŚRÓDMIEŚCIA



PAN W BIELI

Był taki pan ubrany cały na białą, miał na szyi pacuszki popakowane wiszące. Najczęściej na rondzie go spotykałam, czasem był na rynku i bardzo często na 3 Maja. Gimnastykował się na rondzie, na przykład przysiady robił; był dobrze zbudowany, ładny i opalony. Był zawsze bardzo czysto ubrany.

Gdy było ciepło, chodził w szortach. Miał włosy długie, kręcone, siwe, do ramion. Nigdy nie zebrał, nie zaczepiał nikogo. Różnie o nim mówiono: że miał w życiu jakieś tragiczne wydarzenia, że ponoć był jakimś lekarzem, któremu żona i dziecko umarli. Takie chodziły plotki, ale czy to prawda, nie wiadomo.

Kiedyś wpisałam w Internecie „mężczyzna ubrany na białą, Katowice” i artykuł się pojawił na jakimś forum, gdzie ludzie piszą o nim; i z 2006 roku są wpisy podobne do tego: „Może to głupio zabrzmie, ale jak go widzę, to jakoś tak ciepłej mi się na sercu robi. Oczywiście też przykro czasami, że on tak sam ciągle po ulicach w tej bieli, ale jeżeli taka jego wola i taki jego los... To pan Staszek, miał jakieś ciężkie przeżycia rodzinne, macie rację, ta jego biała ekstrawagancja jest w istocie bardzo ciepła, katowicka i pachnie latem. Bywa w katowickich restauracyjkach. Jak coś będzie o nim wiadomo, dajcie znać”.

Anna

Stefania



MĘŻCZYŻNA MIESZKAJĄCY W SAMOCHODACH

PANI W ZWIEWNYCH SZATACH

Była pod Superjednostką pani w takich zwiewnych czerwono-niebieskich szatach. Czy w zimie, czy w lecie, zawsze mniej więcej wyglądała tak samo. Nie wiemy, kto to był, ale machała do kierowców.

Miał dwa auta, które stały na Stalmacha, i on tam mieszkał w tych samochodach – pod murem klasztoru. Przez kilka lat z rzędu próbowali go stamtąd usunąć. Przyjeżdżał MOPS, przyjeżdżała policja. Mężczyzna powiedział, że ma tutaj prawo być, bo to są jego samochody. Najpierw mu zlikwidowali jedno auto, bo zabierało miejsce. A on zima czy lato w tych samochodach spał.

Maria

Dorota

MIŁOŚNIK MUZYKI

Jeszcze był z dziwaków facet, który chodził do NOSPR-u* i do filharmonii ubrany w stroje księżęce i z jakimiś sygnetami. To takie medale jakby. Sama go chyba ze dwa razy widziałam w filharmonii. No i do NOSPR-u bardzo często chodził.

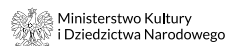
Danuta

* Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia.



Publikacja powstała w ramach projektu „Historie sąsiedzkie” dofinansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury: „Kultura – Interwencje. Edycja 2024”.

ORGANIZATOR



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury: Kultura – Interwencje. Edycja 2024